

Stanisław Mikke

Na drugim biegunie

Palestra 49/1-2(553-554), 105-107

2004

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

BEZ TOGI



Stanisław Mikke

Na drugim biegunie

Opowiadał mi niedawno znany profesor prawa i adwokat, jak to podczas pobytu wraz z amerykańskim prawnikiem w nowojorskim sądzie zażartował na widok rzeźby Temidy, mówiąc, że nie wiadomo dlaczego na symbol sprawiedliwości wybrano kobietę, wszak wiadomo – kontynuował – że kobiety często kierują się emocjami... Nie zdołał dokończyć. Amerykański kolega niemal zbladł, przyśpieszył kroku i z niepokojem rozglądał się na boki, czy aby ktoś nie usłyszał tak wysoce niebezpiecznej wypowiedzi. I później z wyrzutem wyjaśniał zdumionemu i pewnie nieźle ubawionemu polskiemu prawnikowi, że wygłaszanie takich poglądów, ba, nawet żartowanie w ten sposób może być przez kogoś potraktowane, jako przejaw dyskryminacji kobiet. Jego zaś tu wszyscy znają, a samo zadawanie się z kimś kto przejawia ... skłonności dyskryminacyjne, może to być bowiem zinterpretowane jako podzielenie owych nagannych skłonności, to kłopoty jak znalazł. Włączając w to utratę pracy. Takie dowcipkowanie, pouczał, to nie w Stanach. Łatwo w to uwierzyć z uwagi na wiarygodność opowiadającego tę historię, z drugiej zaś znany jest obłądny jakiś strach tamże przed konsekwencjami prawnymi niewinnych czy też przypadkowych zachowań. Ludzie w windach stoją na baczność, aby, uchwaj Boże, nie dotykać drugiej osoby – można zostać oskarżonym o czyn lubieżny znany pod pojęciem ocieractwa. Zbyt swobodny żart w pracy? Ktoś może to odebrać jako seksualne molestowanie. Więc lepiej trzymaj język za zębami.

Rozmawiałem ostatnio z kobietą, która jakiś czas temu wyemigrowała do Ameryki i po latach przyjechała na wakacje do kraju. Otóż osoba ta, obserwując raz i drugi zachowanie naszego wspólnego znajomego, mężczyzny w słusznym, tak to określimy, wieku, z którym dyskutowała na ich interesujące tematy zawodowe, gdy już go pożegnaliśmy, zawyrokowała: W Stanach mógłby mieć poważne problemy. Gdy wyraziłem zaskoczenie, wytłumaczyła jak dziecku, że tam takiego zaintereso-

wania kobietami, jakie on demonstruje, zbyt długo nie puszczano by płazem. A, proszę wierzyć, znajomy ten w sytuacjach zaobserwowanych przez zamerykanizowaną Polkę, jak to się po staroświecku mówi, był po prostu szarmancki. Nic więcej.

W nie lada tarapatkach mógłby się też tam znaleźć pewien rodzimy specjalista od *public relations*, którego życiowym sukcesem jest wykreowanie politycznej gwiazdy, jak się okazało, nie jednego sezonu. *Pi-arowiec* udziela od czasu do czasu osobliwych wywiadów. W dodatku do „Życia Warszawy” analizował „gesty kłamstwa” świadków i członków „Rywinowskiej” komisji śledczej orzekając, że w ciągu dwóch godzin członkowie komisji kłamali średnio dwadzieścia razy. Z arsenału dobrych rad ma i dla sądownictwa ważną receptę: „Jeśli w sądzie powoli akceptuje się wyniki badań wariografu, dziwię się – mówi – dlaczego do tej pory nie dopuszczono analizy mowy ciała. To narzędzie dużo bardziej wiarygodne”. Na początku lutego „specjalista od wizerunku i mowy ciała” w wypowiedzi dla TVN 24 z cyniczną błazenadą stwierdził, że jest w stanie wykreować kandydata na prezydenta spośród pacjentów szpitala psychiatrycznego. U nas może to wywołać co najwyżej odruch wysokiej dezaprobaty, ale tam, za Wielką Wodą mówienie publiczne z kpiarskim lekceważeniem o zaburzonych psychicznie mogłoby oznaczać niejedną sprawę.

Różne incydenty, przeżyte i zasłyszane, powracają w pamięci podczas lektury tekstu, jaki ukazał się w jednym ze styczniowych numerów „Newsweeka” o, jak to nazwano, „systemie mającym znamiona prawniczego szaleństwa”. Amerykańscy autorzy piszą o wszechogarniającym stawianiu przed sądem jednych przez drugich z mniej lub bardziej wyimaginowanych powodów. „System, który miał być obroną zwykłych ludzi zaczyna mieć – piszą – coraz mniej wspólnego ze zdrowym rozsądkiem.

Philip Hovard w swych książkach: „Śmierć zdrowego rozsądku” i „Upadek dobra wspólnego” proponuje reformę prawa, która zahamowałaby tę nakręcającą się coraz bardziej spiralę, zwłaszcza w służbie zdrowia i oświacie. Mimo zapowiedzi obecnego prezydenta, że ukróci to „sądowe szaleństwo” wszystko kręci się nadal. A odszkodowania, idące w dziesiątki a nawet setki milionów dolarów za działania bądź zaniechania są zasądzone, mimo że związek przyczynowy ze skutkiem jest bardziej rodem z teatru absurdu, niż z prawnej argumentacji.

Wspomniana przeze mnie kobieta, której się na drugim kontynencie powiodło i dziś stoi na czele kliniki rehabilitacyjnej, opowiadała o egzaminie testowym, jaki przyszło jej zdać przed dopuszczeniem do wykonywania zawodu. Otóż tylko jedna czwarta pytań dotyczyła wiedzy fachowej i według jej oceny, raczej miernie sprawdzały umiejętności zawodowe. Pozostałe zadania dotyczyły systemów ubezpieczeń, zasadach odpowiedzialności cywilnej i tym podobnych zagadnień, mających na celu ustalenie, czy przyszły rehabilitant będzie, wydawało się, że ponad wszystko wiedział, jak nie narazić siebie, swego pracodawcę i ubezpieczyciela na odszkodowawcze korowody.

Czy zatem ów system tak się zdegenerował, że można już mówić o „błędzie antropologicznym”, żeby tu użyć znanego skądinąd określenia, a niesienie pomocy stało

się rzeczą drugorzędną wobec nienarażenia siebie na prawne perypetie? Lekarze, jak pisał we wspomnianym artykule „Newsweeka” Stuart Taylor jr. i Evan Thomas, tracą rocznie od 50 do 100 miliardów dolarów na tak zwaną „medycynę obronną” mającą udowodniać na każdym kroku należyte spełnianie swoich powinności.

W tym sądowym zawirowaniu niebagatelną rolę odgrywają, o czym się mówi głośno i niejednokrotnie z oburzeniem – amerykańscy adwokaci. Niektórzy na procesach odszkodowawczych zbili fortuny, inni usiłują z nich wyżyć. Jeden z naszych kolegów opowiadał po powrocie z Waszyngtonu o niegroźnej stłuczce, do jakiej tam doszło, na szczęście nie z jego winy. Po powrocie do hotelu, w którym się był zatrzymał, zadzwonił do niego nieznanemu mu adwokat z troską pytając o stan zdrowia po katastrofie. Przybysz z Polski oświadczył, że czuje się znakomicie, a w niegroźnej kolizji ucierpiał jedynie i to nikłym stopniu samochód. Nie zrażony rozmówca pouczył, by gość na amerykańskiej ziemi nie wypowiadał tak przedwczesnych i nierozważnych sądów o swym zdrowiu, dodając, iż „już nasz lekarz wykryje uszkodzenia organizmu będące wynikiem tego strasznego wypadku i określi, czym to może zaowocować w przyszłości”. Telefony, mimo dania do zrozumienia, że nie są pożądane, powtarzały się niemal codziennie przez dwa tygodnie, a kończyły się nieodmiennie zaleceniem, by sprawę całą raz jeszcze dobrze sobie przemyślał, odszkodowanie bowiem może być znaczne.

My jesteśmy na drugim biegunie. Zasądzone odszkodowania, na przykład za ciężkie uszkodzenia ciała nieraz skutkujące trwałe upośledzenie, bywa, że są nie humorystycznie, ale dramatycznie niskie. Zaś równoległe, lekceważenie obowiązków, w różnych dziedzinach, w zakresie bezpieczeństwa spotykane nagminnie, osiąga granice niepoczytalnej jakiejś dezynwoltury.

Nikt rozsądny nie patrzy z aprobatą na to wszystko, co się wyrabia w Stanach Zjednoczonych. Ale nam daleko do norm odpowiadających cywilizacyjnemu postępowi. Co gorsze, nic nie wskazuje na to, aby ten stan miał się radykalnie odmienić, mimo niewątpliwie wyższej świadomości, wzrostu liczby procesów odszkodowawczych i zdarzających się roztropnych wyroków oraz rozwoju ubezpieczeń od odpowiedzialności cywilnej, zwłaszcza zawodowej.

Wracając z górskiej wędrowki jadę z Kuźnic w stronę Ronda autobusem PKS, które to przedsiębiorstwo zastąpiło miejską komunikację w Zakopanym. Nawierzchnię pokrywa gruba warstwa ubitego, miejscami zlodowaciałego śniegu. Nikt go nie uprzęta, ani jezdni nie posypuje, wychodząc widać ze słusznego przekonania, że w końcu, kiedyś ten śnieg stopnieje. Kierowca, u którego kupuję bilet, rozmowny, jedzie szybko po krętej i spadzistej, jak wiadomo, drodze. Musi mieć, myślę, dobre zimowe opony. Ten zaś, jakby czytał w mojej głowie: „Wie pan na jakich oponach jestem? A na letnich. Firma nie ma pieniędzy na zimowe. Każą tylko upuszczać po pół atmosfery”. Czy to wystarcza, czy to bezpieczne? Wzrusza w odpowiedzi ramionami. Przyspiesza. „Ja jestem dobrym kierowcą – mówi z uśmiechem.

Mówią za Oceanem: Boże, chroń Amerykę. Nam pozostaje dodać: chroń także zakopiańskich turystów.